

Kolorowa
Klasyka







Jan Brzechwa

Podróże
Pana
Kleksa





Handwritten title: *Handwritten text in a decorative frame*

	<i>am. m</i>	
	<i>am</i>	
	<i>am</i>	





Jan Brzechwa **Podróże Pana Kleksa**

Redakcja:
Agnieszka Antosiewicz

Korekta:
Agnieszka Antosiewicz
Maria Zagnińska

Ilustracje i opracowanie graficzne:
Mikołaj Kamler

ISBN 978-83-7517-734-3

© Copyright by Spadkobiercy Jana Brzechwy

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG®
2024

Wydawnictwo GREG®
ul. Klasztorna 2B
31-979 Kraków
tel. (12) 680 15 50
www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.
Wszystkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Skład i łamanie:
Pracownia Register



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Bajdocja

Działo się to w czasach, kiedy atrament był jeszcze zupełnie, ale to zupełnie biały, natomiast kreda była czarna. Tak, tak, moi drodzy, kreda była jeszcze wtedy kompletnie czarna. Łatwo sobie wyobrazić, ile z tego powodu wynikało kłopotów i nieporozumień. Pisało się białym atramentem na białym papierze i czarną kredą na czarnej tablicy.

Tak, tak, moi drodzy, sami chyba rozumiecie, że napisane w ten sposób litery były całkiem, ale to całkiem niewidoczne. Gdy uczeń pisał wypracowanie, nauczyciel nigdy nie wiedział, czy kartki są zapisane, czy też nie są zapisane.

Uczniowie wypisywali przeróżne głupstwa na papierze lub na tablicy, ale nikt nie mógł tego sprawdzić ani nawet zauważyć. Listy pisane w ten sposób były zupełnie nieczytelne, toteż mało kto pisywał je w tych czasach. Urzędnicy w biurach zapełniali pismem ogromne księgi, ale na próżno ktokolwiek usiłowałby odnaleźć w nich ślady liter lub cyfr. Po prostu były niewidoczne. I gdyby nie to, że istnieje w biurach z dawna zakorzeniony zwyczaj prowadzenia ksiąg, na pewno zaniechano by tej znużającej i niepotrzebnej pracy.

Ludzie podpisywali się na rozmaitych papierach i dokumentach, chociaż doskonale wiedzieli, że nikt, nie wyłączając ich samych, podpisów tych nigdy nie odczyta i najwymyślniejsze nawet zakrętasypójdą na marne. Ale ponieważ od niepamiętnych czasów podpisywa-



słonecznych oraz systemowi elektrycznych chłodziń Patentóńczycy umieli utrzymywać temperaturę swych miast na jednakowym poziomie o każdej porze roku. Było to ważne chociażby z tego względu, że Patentóńczycy posiadali niezmiernie duże nosy, więc przy lada powiewie dostawali kataru i kichali tak głośno, jakby grali na trąbach.

Plac przecinała szeroka ulica, której liczne odgałęzienia i przecznice widoczne były z daleka. Ponad placem wisały roje świdrowców, przyczepionych do balkonów domów jak baloniki. Mieszkańcy miasta wylegli na balkony, trzymając przy ustach małe kauczukowe głośniki. Zebrani na placu Patentóńczycy przystrojeni byli w uroczyste, spiczaste kaptury zakończone maleńkimi antenami w kształcie guzika. Jeden z nich, wyróżniający się szczególnie dużym nosem, zbliżył się w drobnych podskokach do pana Kleksa, pochylił się nisko i zwyczajem patentońskim pocałował go w ucho. Była to oznaka wielkiej czci, na którą pan Kleks odpowiedział w podobny sposób, ale musiał przy tym podskoczyć wysoko w górę, gdyż Patentóńczyk przewyższał go wzrostem o dobre cztery głowy. Powitanie z pozostałymi Bajdotami było mniej ceremonialne i ograniczyło się do wzajemnego pociągania za uszy. Pietrkowi ogromnie podobał się ten zwyczaj, gdyż po raz pierwszy w życiu mógł targać za uszy innych, tak jak to z nim dotychczas robili marynarze, bynajmniej nie po to, aby mu okazać szacunek.

Po zakończeniu powitań, podczas których zgromadzony tłum odegrał na nosach Marsza Wynalazców, Patentóńczyk przyłożył do ust siatkę ze szklanego drutu, wielkości kieszonkowego zegarka, i rozpoczął przemówienie. Siatka ta stanowiła niezwykle wynalazek. Przetwarzała ona mowę patentońską na każdy inny język, stosownie do nastawienia znajdującej się w środku wskazówki. W ten sposób przemówienie wygłoszone po patentońsku Bajdoci usłyszeli w języku bajdockim.

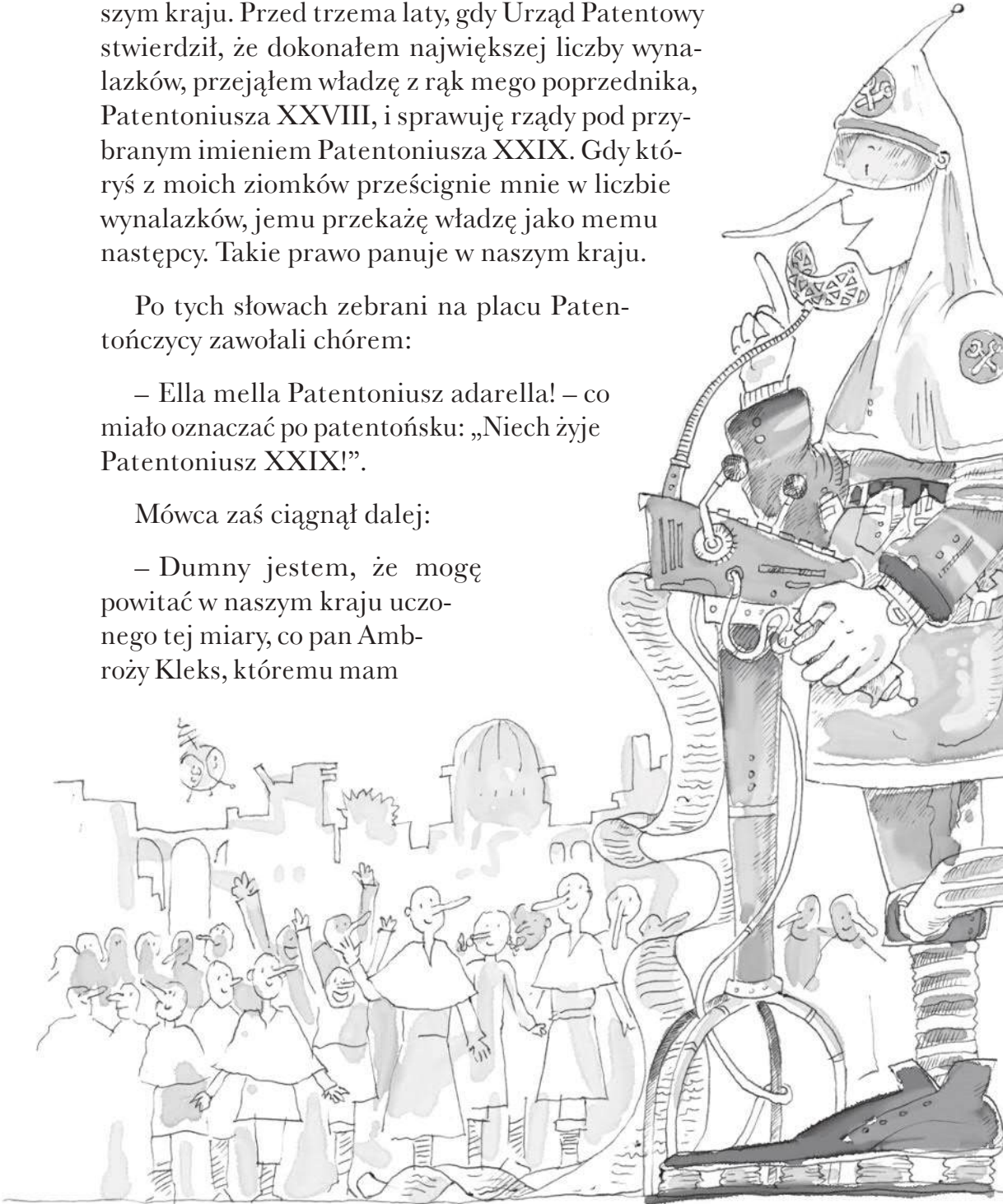
– Dostojny gościu – powiedział mówca, zwracając się do pana Kleksa. – Dzielni podróżnicy! Na wstępie pragnę nadmienić, że piastuję w Patentonii godność Arcymechanika, która u nas odpowiada godności Wielkiego Bajarza w waszym kraju. Przed trzema laty, gdy Urząd Patentowy stwierdził, że dokonałem największej liczby wynalazków, przejąłem władzę z rąk mego poprzednika, Patentoniusza XXVIII, i sprawuję rządy pod przybranym imieniem Patentoniusza XXIX. Gdy któryś z moich ziomków prześcignie mnie w liczbie wynalazków, jemu przekażę władzę jako memu następcy. Takie prawo panuje w naszym kraju.

Po tych słowach zebrani na placu Patentonczycy zawołali chórem:

– Ella mella Patentoniusz adarella! – co miało oznaczać po patentońsku: „Niech żyje Patentoniusz XXIX!”.

Mówca zaś ciągnął dalej:

– Dumny jestem, że mogę powitać w naszym kraju uczonego tej miary, co pan Ambroży Kleks, któremu mam





ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Życiodajne brody

Nazajutrz wczesnym rankiem obudziła pana Kleksa cicha muzyka. To jeden z bajdockich marynarzy imieniem Ambo, wyciągnięty w hamaku, grał na swojej nieodłącznej bajdolinie starą marynarską piosenkę:

Prowadź, prowadź, kapitanie,
Okręt szybki!
Daj nam, daj nam na śniadanie
Złote rybki.

Pan Kleks stanął na środku sali, włożył okulary i na dwóch palcach wygwizdał pobudkę. Po chwili Parzybrodki wniosły na tacach filiżanki z zupą pomidorową i rogaliki z makaronu.

Gdy podróżnicy zjedli śniadanie i wyszli na ulicę, miasto w świetle dnia wydało im się nieporównanie piękniejsze. Obok domów, które wyglądały jak wielkie drewniane okrągłaki, krzątały się Parzybrodki, odziane w kolorowe spodnie tudzież kamizelki ze słomianej plecionki. Tłumy dzieci bawiły się na placzkach w „berka” albo w „klasy”. Ulice tonęły w zieleni i w kwiatkach, a barwne kolibry i papugi, oswojone jak kury, dziobały ziarnka, które im z okien domów rzucały parzybrodzkie dziewczęta.

Największe jednak zainteresowanie pana Kleksa obudziła praca mężczyzn. Siedzieli oni przed domami dokoła kotłów i parzyli

we wrzątku swoje brody. Kobiety podtrzymywały ogień na paleniskach, a od czasu do czasu zanurzały w kotłach drewniane chochle, mieszały wrzątek i próbowały jego smak.

Nietrudno było zauważyć, że każda z życiodajnych bród, w zależności od barwy, zawierała składniki o odrębnym smaku. Były więc brody pomidorowe, burakowe, fasolkowe, cebulowe, szczeniowe, a z ich połączeń powstawały inne, nader urozmaicone zupy. Stanowiły one wyłączne pożywienie ludności Parzybrocji. Na tym jednak nie koniec. Każdy mężczyzna w miarę potrzeby smarował sobie brodę pomadą, stanowiącą odpowiednią przyprawę. Wśród pomad pan Kleks rozpoznał pomadę chrzanową, solną, pieprzową i majerankową, ale były i takie, których wielki uczonec nie potrafił określić, chociaż dobrze znał się na kuchni.

– Genialne! Fantastyczne! – wołał raz po raz i biegał z łyżką od kotła do kotła, kosztując wszystkich rodzajów zup. Ale podziw jego przekroczył wszelkie granice, gdy na ulicy ukazali się członkowie Ważnej Chochli i w różnych kotłach zanurzali po kolei swoje brody, dodając w ten sposób do zup odpowiednie porcje makaronu.

Po dostatecznym wyparzeniu bród ich właściciele powyciągali je z kotłów, a następnie wytarli ręcznikami do sucha. Dziewczęta przyniosły talerze. Jedne nalewały zupę, inne częstowały gości i rozdawały posiłek domownikom.

Zjawił się również Nadmakaron, którego powitano z ogromną czcią. Gawędząc z panem Kleksem, ten najwyższy dostojnik Parzybrocji wyjaśnił mu, że brody makaronowe są niesłychanie trudne do zaszczepienia i jedynie siedmiu szczególnie zasłużonych Parzybrodów może się nimi poszczycić, ale za to muszą użyć makaronu pozostałej ludności, zwłaszcza do rosółu i zupy pomidorowej.

– Wybacz Wasza Dostojność – rzekł pan Kleks z pewnym zakłopotaniem w głosie – jestem wprawdzie profesorem chemii na uniwersytecie w Salamance, ale chciałbym zapytać, czy brody, raz wyparzone, nadają się do dalszego użytku?

– Befszyk z połędwicy to nasze ulubione danie – ciągnął Nibyta. – Posił się, czcigodny cudzoziemcze.

Pan Kleks ochoczo zabrał się do jedzenia, spałaszował wszystko, co było na półmisku, ale w żołądku nadal odczuwał pustkę. Miał wrażenie, że połknął powietrze i tylko w ustach pozostał smak wybornej potrawy. Befszyk na niby nie zawierał w sobie nic prócz smaku. To jeszcze bardziej podrażniło głód pana Kleksa, ale opanował się i udawał najedzonego.

Nagle w oddali dostrzegł inną kobietę, niosącą pękatą butlę czarnego płynu.

– Co niesie ta kobieta? – zawołał, nie panując nad wzruszeniem. – Błagam cię, powiedz, co ona niesie?

– Ech, to po prostu atrament – odrzekł Nibyta. – Czyżby interesował cię atrament, czcigodny cudzoziemcze?

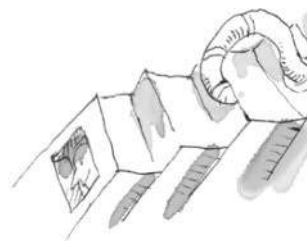
Pan Kleks, jak wyrzucony z procy, dał susa ponad głowami przechodniów, porwał z rąk kobiety butlę i zanurzył palec w czarnym płynie. Na palcu nie został nawet ślad atramentu. Wtedy pan Kleks przechylił butlę i polał sobie dłoń czarną cieczą. Ręka pozostała czysta i sucha.

– Do diabła z takim atramentem! – ryknął pan Kleks i grzmotnął butlę o ziemię. Atrament rozprysnął się na wszystkie strony, ale śladów nie było ani na ziemi, ani na odzieży przechodniów. Nawet szkło z potłuczonej butli ulotniło się i zniknęło.

Nibyta zbliżył się do pana Kleksa.

– Zapomniałeś, że jesteś w Nibycji – rzekł z filuternym uśmiechem. – Przecież atrament mamy także na niby.

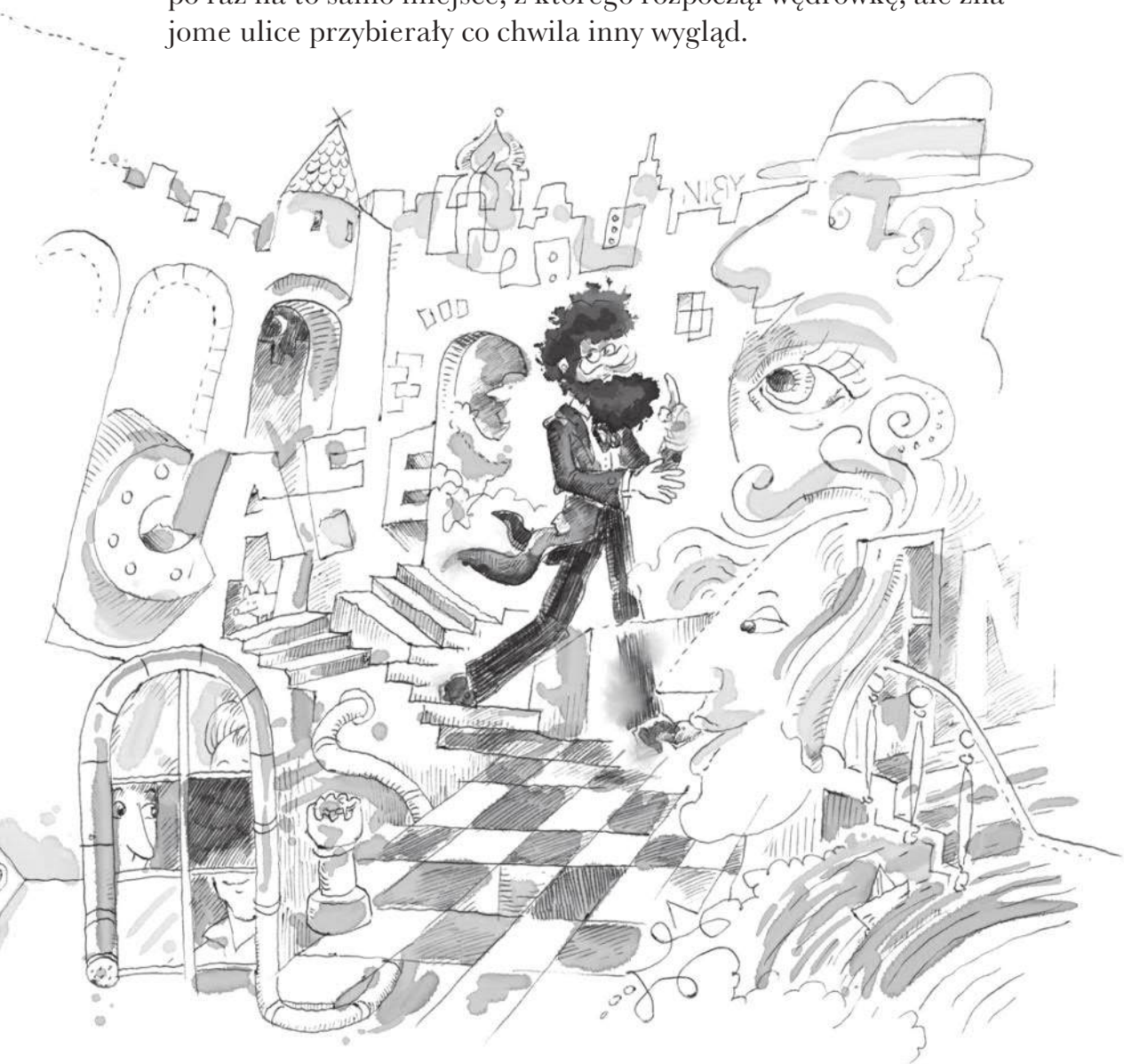
Wielki uczoney milczał. Dokoła parami snuli się przechodnie, nie zwracając na niego uwagi. Nawet nie dostrzegli wybuchu jego gniewu ani przykrego zajścia z atramentem. Wszyscy uśmiechali się filuternie, jakby chcieli powiedzieć:



– Przecież to wszystko jest tylko na niby.

Gdy po pewnym czasie pan Kleks ocknął się z odrętwienia, znajomy Nibyta już odszedł, a raczej rozplynął się w tłumie. Zresztą i tłum rozplywał się w niebieskawej mgle zmierzchu, a tylko tu i ówdzie widniały jeszcze filuterne uśmiechy.

Pan Kleks szybkim krokiem ruszył przed siebie, pragnąc opuścić ten nieistniejący kraj. Skręcił w prawo, ale okazało się, że idzie w lewo. Gdy postanowił iść w lewo, okazało się, że skręca w prawo. Błądził po ulicach, które nie były ani równoległe, ani prostopadłe. Krążył po placach zawieszonych w powietrzu jak mosty, wracał raz po raz na to samo miejsce, z którego rozpoczął wędrówkę, ale znajome ulice przybierały co chwila inny wygląd.



Pan Kleks, wyteżając wzrok, przystąpił do odczytywania napisów. Zawierały one dobrze mu znane nazwy geograficzne. Niektóre z nich wymawiał głośno i dobitnie:

BAJDOCJA
ABECJA
PATENTONIA
WYSPY GRAMATYCZNE
KRAJ METALOFAGÓW
PARZYBROCJA
PRZYLADEK APTEKARSKI

„Wszystko to mam już poza sobą” – pomyślał i szybko zaczął przeszukiwać przepastne kieszenie swoich spodni.

– Mam! – zawołał wesoło, wyciągając z nich srebrny, uniwersalny kluczyk.

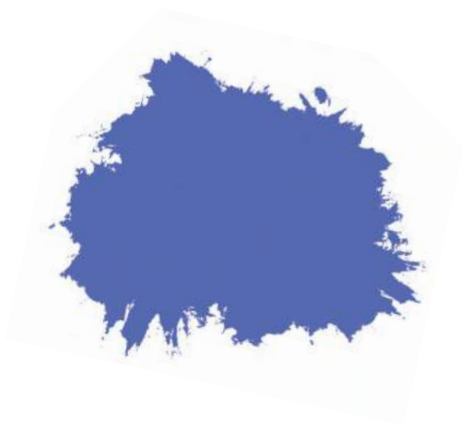
Podbiegł do furtki z napisem „Bajdocja”. Kluczyk pasował. Zardzewiały zamek zgrzytnął, zaskrzypiały zawiasy, posypał się mur i furtka ustąpiła. Pan Kleks pchnął ją z całej siły. Oczom jego ukazało się znajome miasto, a pośrodku wysoka góra Bajkacz.

Pan Kleks odetchnął z ulgą, zatrzasnął za sobą furtkę i ruszył w kierunku marmurowych schodów. Przeskakując po kilka stopni, wbiegł na sam szczyt góry i stanął u bram pałacu Wielkiego Bajarza. Z tarasu rozpościerał się widok na tonącą w kwiatach Klechdawę. Z oddali dolatywał chóralny śpiew bajdockich dziewcząt i dźwięki bajdolin.

Ale pan Kleks nie widział nic i nic nie słyszał. Wszedł do pałacu i minął dwadzieścia siedem sal, w których zasiadali Bajdałowie tudzież inni dostojnicy państwowi. Nikogo jednak nie dostrzegął ani nie odpowiadał na pozdrowienia. Jego twarz wyrażała niezwykle napięcie, a w mózgu leżały się czarne myśli, które spływały do serca, przenikały do krwi, ogarniały całe jestestwo.

Spis treści

<i>Bajdocja</i>	5
<i>Cisza morska</i>	13
<i>Abecja</i>	21
<i>Kierunek – Wyspa Wynalazców</i>	32
<i>Patentonia</i>	39
<i>Arcymechanik</i>	48
<i>Walka z szarańczą</i>	56
<i>Nadmakaron</i>	61
<i>Życiodajne brody</i>	68
<i>Podróż w beczce</i>	74
<i>Przylądek Aptekarski</i>	84
<i>Katastrofa</i>	95
<i>Nibycja</i>	104



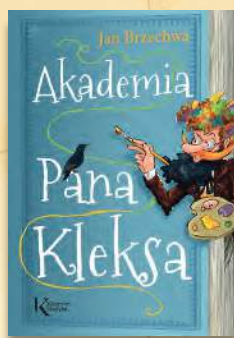
„Działo się to w czasach, kiedy atrament był jeszcze zupełnie, ale to zupełnie biały,

natomiast kreda była czarna. Tak, tak, moi drodzy, kreda była jeszcze wtedy kompletnie czarna. Łatwo sobie wyobrazić, ile z tego powodu wynikało kłopotów i nieporozumień. Pisało się białym atramentem na białym papierze i czarną kredą na czarnej tablicy.”

Czy Pan Kleks znajdzie atrament i bajki z tajemniczej Bajdocji w końcu zostaną utrwalone?

Zapraszamy do pełnej niebezpieczeństw i zaskakujących przygód podróży po niezwykłych krainach.

Pozostałe przygody Pana Kleksa:

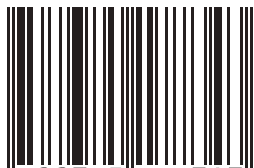


Skompletuj całą serię Kolorowa Klasyka:



i inne tytuły.

ISBN 978-83-7517-734-3



9 788375 177343 >

K Kolorowa Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków www.greg.pl